Nr. 29. We Lwowie dnia 19. lipca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NIEZAPOMNIANA SPRAWA.

O sprawie krożańskiej obszernie pisały dzienniki polskie i obce, wydano nawet kilka broszur i książek, opisujących przebieg tych strasznych wypadków i sąd — nad ofiarami zbrodni. Wszystko jednak, co dotychczas ogłoszono o przebiegu sprawy, opierało się w znacznej części na opowiadaniach świadków, na wieściach niedostatecznie sprawdzonych, na dorywczych relacjach z posiedzeń sądu, który był epilogiem męczeńskiej historji Krożan. Teraz dopiero wyszła w Krakowie książka, która rzuca światło na główne momenty sprawy, tłómaczy to, co było dotychczas niejasnem lub wątpliwem, stwierdza to, co było niepewnem. Książka: Proces Krożan przed izbą sądową wileńską na podstawie aktów sądowych i dokumentów, oprócz krótkiego wstępu o przeszłości Kroż zawiera: akt oskarżenia, zeznania świadków w śledztwie i na sądzie, mowy prokuratora i obrońców w dosłownem brzmieniu lub streszczone, protokuły posiedzeń sądowych, rezolucję i motywy wyroku oraz inne materjały urzędowe w tej sprawie, wreszcie liczne dodatki. Te ostatnie stanowią bodaj najważniejszą część książki i powiedziałbym najciekawszą, gdyby ten wyraz nie urągał jej treści tragicznej. Są to prośby parafjan krożańskich o zamianę kościołów, opinje w tej sprawie generał-gubernatora, postanowienia jego, ukazy carskie, sprawozdanie urzędowe o wypadkach i opis tych wypadków, sporządzony w więzieniu przez oskarżonych, spisy dokładne ofiar i dwa charakterystyczne listy . Orżewskiego do ministra spraw wewnętrznych i prezesa izby sądowej, Stadolskiego — do ministra sprawiedliwości.

Umyślnie przytoczyłem suchy wykaz treści, bo w protokularnej, urzędowej formie występuje dopiero w całej grozie i w całej ohydzie przebieg tej krwawej sprawy. To przeciwieństwo formy i treści potęguje wrażenie. Wszystkie niemal dokumenty milczą o najważniejszej chwili, o pastwieniu się wojsk i władz nad ludem po stłumieniu oporu. Do tego punktu dochodzą i na dany rozkaz zatrzymują się zeznania świadków, mowy adwokatów. Ale te niedomówienia przymusowe, te półsłówka i wykrzykniki, które mimowoli wyrywają się z ust jednym i drugim — pobudzają raczej wyobraźnię czytelnika, który w milczeniu tem domyśla się rzeczy strasznych. Rzeczywistość nie przeczy tym domysłom. Oto, umieszczony w drugiej części książki spis ofiar: 16 bitych nahajkami w zarządzie gminnym, w obecności gubernatora, między nimi starzec 70 letni, Kietnarowski; 10 rannych wystrzałami z broni palnej; 28 kobiet i mężczyzn skatowanych nahajami przez kozaków tak strasznie, że np. jednej kobiecie wybito oko, a druga, której złamano dwa żebra, dostała obłąkania. Nie wszyscy ranni lub zbici szukali porady u lekarzy, spis więc podaje tylko liczbę najmniejszą. Nie koniec jednak na tem. Trzynaście kobiet i dziewcząt zgwałcili kozacy, w obecności ich mężów, braci i ojców. Jedna z tych nieszczęśliwych w kilka dni po tem umarła. I tu liczba ofiar nie jest dokładną, bo niejedna wstydziła się wyznać swą hańbę. Zabitych lub utopionych w rzece Krożeńcie było 9 osób, przeważnie kobiet. Świadkowie naoczni wypadków mówią jednak, że zginęło około 30 ludzi.

A teraz porównajmy z tym spisem ofiar sprawozdanie urzędowe w Kowieńskich wiadomościach gubernialnych: »Podczas starcia tłumu z policją i wojskiem czterej urzędnicy policyjni otrzymali lekkie uderzenia kijami; w tłumie nikogo nie raniono«. Powtarza to rozmyślne kłamstwo w telegramie do ministra gene-

rał-gubernator Orżewskij, donosząc iż kozacy »złamali opór ludności miejscowej nahajami, nie używając broni«.

Wymagania obrony sądowej, wzgląd na los nieszczęśliwych, którzy tyle wycierpieli, przyczyniły się do nadania sprawie krożańskiej niewłaściwego charakteru. Adwokaci przedstawiali tych Żmudzinów, jako wiernych i lojalnych poddanych, czczących i miłujących cara, których tylko okrutne postępowanie władzy mianowicie wypędzanie nahajami spokojnie wychodzącego z kościoła ludu, oburzyło i jakby wbrew woli popchnęło do oporu, do buntu. Nie tak było w rzeczywistości i teraz niema żadnej potrzeby tak przedstawiać sprawy.

Te portrety cesarskie, którymi wejście do kościoła zastawiano — to tylko naiwny wybieg dyplomacji chłopskiej, nie zaś objaw lojalizmu. Prośby do cesarza—to zupełnie naturalne w danej sprawie odwoływanie się do najwyższej instancji. Krożanie, jak książka, o której mówimy, nas objaśnia, podawali też prośby do papieża, do cesarza niemieckiego, do króla duńskiego, do królowej angielskiej, a nawet do prezydenta rzeczypospolitej francuskiej. I opór nie był porywem chwilowym. Przygotowywali się do niego tygodniami, urządzili straż przy kościele, zgromadzili się tłumnie na wieść o przyjeździe gubernatora. Był to niewątpliwie protest obmyślony, zorganizowany i to właśnie nadaje szczególne znaczenie całej sprawie.

Nie nahaje policjantów wywołały opór i były bezpośrednią przyczyną katastrofy, ale cały szereg prześladowań, których od lat trzydziestu doznaje katolicki lud litewski, ale ten system polityczny rządu, który w tej sprawie odsłonił swoją ohydę.

Sprawa krożańska nie jest jakimś wypadkiem nadzwyczajnym. To tylko jeden ustęp — chociaż może najjaskrawszy, czerwienią krwi najsilniej bijący w oczy — z martyrologii Żmudzi i Litwy. I postępowanie władzy różni się od stosowanego zwykle w podobnych zajściach, tylko większą miarą okrucieństwa i bezprawia. Na parę lat przed wypadkami w Krożach było krwawe zaburzenie z powodu zamknięcia kościoła w Kienstajciach, ale poprzednik Klingenberga był mniej szczęśliwy, bo ukarano go dymisją.

Ta właśnie okoliczność, że czyny gwałtu i bezprawia, zarówno jak czyny zorganizowanego oporu są zjawiskiem powszedniem, odejmując może nieco tajemniczej grozy sprawie krożańskiej — pozwala dopiero należycie ocenić i system rządów rosyjskich na Litwie i warunki polityczne, w których żyć muszą miliony ludu.

Co myślą i co czują te miliony? Książka „Proces Krożan“ nic nam o tem nie mówi i żadna książka nie powie. Po przeczytaniu dokładnem sprawozdania z posiedzeń sądowych ogarnia czytelnika zdumienie, a jak mnie, podziw dla tych ludzi. Ani jednego okrzyku, ani jednego żywszego ruchu sprawozdawca nie zaznacza. Niekiedy tylko wyrwało im się kilka słów z ust zaciśniętych. Co prawda, nie rozumieli dobrze o co chodzi, nie rozumieli języka obrad sądowych.

Ale książka daje nam portrety 8 oskarżonych, sędziów ich i katów — a te trochę mówią. Taki Rymkus, o którym powiedział jego obrońca, że jakby zerwał się z obrazu Matejki, taki Brazłowski z twarzą inteligentną, z silnie zaciśniętemi ustami, nie są to, nie mogą być ludzie powszedni. „Lud to cichy, rzewny, skryty, jak to mówią kuty — bity“ w swej podejrzliwości chłopskiej, w swej skrytości litewskiej, nic wyjawi nikomu uczuć swych i myśli. Ale z tych twarzy energicznych widać doskonale, że „gdy kto zahaczy, to i w grobie nie przebaczy“ i na końcu swego dopnie.

Gdybyśmy nawet nie czytali zeznań świadków i samego Klingenberga, jeden rzut oka na jego portret dałby nam możność zrozumienia tragedji krożańskiej. Tę twarz, będącą mieszaniną rysów niemieckich i mongolskich, znamionują przyrośnięte u dołu uszy t. zw. uszy Morela, znane psychiatrom i antropologom, jako właściwość zbrodniarzy i ludzi psychicznie nienormalnych. Z niepewnego wyrazu oczu odgadnąć można tchórzliwą duszę „urodzonego zbrodniarza“ jakby go nazwał Lombroso. Ten tchórz dotkliwie upokorzony mścił się potem za poniżenie, jakiego doznał, za bojaźń, jakiej doświadczał.

Wiadomo, jak się sprawa skończyła, ale niewiadomo było dotychczas, że Orżewskij dokładał wszelkich starań, żeby prośba sądu o ułaskawienie skazanych nie została uwzględnioną. W odpowiedzi na generał-gubernatora list, którego treść z urzędu zakomunikowano prezesowi izby sądowej wileńskiej, ten ostatni pisze do ministra sprawiedliwości: „Jestem Rosjaninem do szpiku kości i dla tego mówię panu: sprawa, która dopiero co się zakończyła pod mojem przewodnictwem i pod której żywem wrażeniem kreślę te wyrazy, dla tego właśnie, że jestem Rosjaninem, wzburzyła we mnie do głębi duszy uczucie narodowe“.

Jeżeli dostojnik rosyjski „obrusitiel z zawodu“, stary sądownik, który miał czas z wzruszeniami się oswoić, tak się wyraża w piśmie urzędowem — to zapisując słowa jego, wstrzymać się możemy od wszelkich uwag z naszej strony. To dokumenty urzędowe mówią, a one przecie są bardziej martwe, niż kamienie!

J. L. P.

NURTY.

przez

CEZAREGO JELLENTĘ.

(Ciąg dalszy).

Różnica w tem, że obecnie podróży tej domaga się — we dwoje. Dela odmawia stanowczo przez wzgląd na ojca, którego to ostateczne zerwanie z tradycją dawnych cnót kosztowałoby za dużo. Odmowa go nie zraża, jeden, czy we dwoje, jechać gdzieś musi. Przed drogą na krótką chwilę pojawia się w domu. Znowu jest zdenerwowany, męczony halucynacjami, pozbawiony snu. Już nie tylko straszy go martwota, obecnie przerażającem widmem jest dlań samotność. Jest zupełnie sam we wszechbycie! »Między mną, a bliźnim zieją czarne bezdnie«, nikt i nic nie jest w stanie »strasznego sieroctwa zamienić w bliźniactwo«, żadna »jaźń z drugą stopić się nie może«. To poczucie samotności jest dlań taką męczarnią, bez ratunku i końca, że jedyne zbawienie widzi tylko — w śmierci.

Tym razem jednak nie ulega pokusie. Nie umie wszakże i nie posiada dość chęci, aby z groźnej choroby podźwignąć się potęgą własnej duszy, mocą hartownej woli. Daje rozrość się złemu i odtąd coraz szybciej, niby po stromej pochyłości stacza się na dół. Przestaje pisać, obmierza mu wiedza i sztuka; nawet w podróżach nie znajduje już ani rozrywki ani uspokojenia. Niedawna miłość jest już tylko jakiemś bolesnem echem z dawnej przeszłości. Zapomniana Dela nie może przenieść utraty ukochanego, gaśnie z dnia na dzień, usycha z zaciśniętemi ustami, cicha i dumna. Ojciec jej człowiek poważny, dawnych cnót i wierzeń, dziś złamany widokiem nieszczęśliwego dziecka przychodzi sam do kata swojej córki, którego nadto poczytuje za jej uwodziciela i błaga go, aby wrócił, aby nie dał nieszczęśliwej gasnąć tak bez ratunku. Na tę prośbę ojca — upokarzającą, bolesną, okropną — Stefan umie tylko przeciwstawić ból własny. A raczej swoją nicość. Innego bowiem zadośćuczynienia ofiarować nie może, jak oddając im swoje życie. Niech je wezmą od niego, wyświadczą mu nawet dobrodziejstwo. Oczywiście, podobnego podarunku ojciec Deli przyjąć nie ma ochoty.

Napróżno przyjaciel próbuje go przywołać życia obrazem kipiącego ruchu społecznej propagandy; poeta patrzał zawsze na podobną działalność z wyżyn olimpijskich i teraz więc ironicznemi uwagami przyjmuje propozycję. Jedno, co mu daje kilka chwil życia pełnego wstrząsających wrażeń — to haszysz. W haszyszu odnajduje skrzydła jego duch przesycony wrażeniami i na wszystkie już obojętny.

Tu, w tych haszyszowych marzeniach odsłania się nam widoczniej duch poety, spowity w kapryśnych obsłonach egotyzmu i egoizmu.

Pogrążonego w półśnie otaczają jedne po drugich widma bogiń, nimf, rycerzy — uposta-

---

15)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Westchnęła zcicha i otworzyła oczy.

Doktór jakby się zląkł tego przebudzenia...

Machinalnie, bezwiednie prawie przesunął kilkakrotnie rękami nad twarzą...

Spojrzała na niego wzrokiem zranionej sarny i przymknęła powieki...

Stał przy otomanie zaniepokojony, jakby zmieszany. Ujął za puls. W głowie szumiało, palce drgały, pulsu dobadać się nie mógł...

Rozejrzał się po pokoju.

Biała lampa, zawieszona u sufitu, słabo oświetlała duży pokój, obity granatowem suknem, wysłany popielatym dywanem w czerwone kwiaty.

Znał ten pokój, przepędził tu niejedną noc bezsenną... tu, na tej samej otomanie.

W kącie, za chińskim parawanem stało łóżko; toaleta między dwoma oknami połyskiwała mnóstwem kryształowych gracików. Wszystko po dawniejszemu.

Pola uśpiona, z odrzuconą głową, z bolesnym uśmiechem na wykrzywionych wargach, uderzająco była do matki podobną!

Jęknęła głucho, wyprężyła się i jakby wstrząśnięta niewidzialną siłą, podrzuciła głową kilkakrotnie.

Doktór odskoczył — znał te objawy.

Patrzał na nią szeroko otwartemi oczami, a z piersi wyrwał się stłumiony okrzyk zdumienia, czy może stłumionej radości.

Uspokoiła się, leżała jak martwa.

Przebiegł pokój, zatrzymał się w kącie przy stoliku, nalał szklankę wody z karafki.

Obrócony do chorej plecami, nasłuchiwał.

Gdzieś za ogrodem pies zawył żałośnie...

Doktór pił wodę zwolna

Słyszał jej szamotanie się, zgrzytanie zębami, trzeszczenie w stawach...

Pił wodę i nasłuchiwał...

Bał się, czy aby jest dość silną? Czy tak wątłe medjum może zdobyć się na wyraźny objaw?

Jęki były tak słabe, jak konającego dziecka!

Dziwne miał szczęście!

Szukał, badał, czas i siły poświęcał na pochwycenie czegoś konkretnego, a ile razy zdobył pożądany materjał, siły okazywały się tak marne, że nie warto było zaczynać.

ciowane własne jego żądania, poczucia, wszystko, co leżało w głębi jego ducha, czem bolał i czem był.

Wizja życiodajnej Izydy budzi w nim wspomnienie otaczającej go martwoty. Świat jest pokryty strupieszałemi mumiami, stare magi rząd trzymają, dokoła jeden cmentarz w proch rozsypujących się dawnych wielkości. Błaga więc potężne bóstwo, aby te martwe serca napełniło olbrzymim, wszystko przenikającym, życiodajnym duchem. Na widok ponętnego orszaku rusałek skarżących się na chłód ludzkich serc, poeta wybucha ironją i oburzeniem dla dzisiejszych stosunków, gdzie przewaga ciała zabrała cały dział gorących porywów uczuć. i Tu znowu orszak rycerzy w szalonym galopie świat oblatuje, szukając żywego, plonnego czynu. Daremnie! świat pogrąża się w topielisku pleśniejącego bagna, wszystkie żywsze porywy toną w niem i wiele upłynie wieków zanim Nienawiść i Miłość zbudzą się do śmiertelnego boju i burzą swych dzieł wstrząsną gnijącą skorupą ziemi. Znękany temi wizjami poeta czuje w samym sobie tę ogólną zarazę rozkładu i popada w rozpacz bezgraniczną. Wkrótce jednak zmieniają się wrażenia; poetę napada poryw tworzenia. Siłą potężnej woli zburzy wprzód siedzibę dawnych bóstw, twórców i opiekunów nędznego człowieka, z oblicza ziemi zetrze wszelki ślad dzisiejszej ludzkości, a potem z nicości wyprowadzi nowy twór — nowego człowieka. Potęgi natury złożą najdzielniejsze swe siły, aby wytworzyć kwintessencją doskonałości. Słońce da mu wszechwiedzę, lazur niebieski — spokój, piękność przyrody rozbudzi w nim fantazję, ognie wulkanów napełnią mu pierś wybuchami niebiańskich porywów itd. Idea twórcza tak go unosi, że mu się zdaje, iż widzi już przed sobą, przypływającą z dali wizją swoich marzeń. Widzi całe plemię wybranych, silnych, dumnych, szczęśliwych. Uniesiony rzuca się radośnie ku nim, gdy nagle jakieś widmo potworne zastępuje mu drogę. W rysach nowego zjawiska poznaje samego siebie. Ten sam smutek wieczysty, noszony na pokaz, to rozczulanie się nad sobą, ta wieczysta włóczęga i uganianie się gdzieś, za czemś... Obraz ten wstrętny, obraz jego własnej duszy, zasłaniający mu promienne ideały ludzkości, przejmuje go taką ohydą, że gotów jest porwać się nań, znęcać się nad nim, rozszarpać go — wraz z sobą samym.

Wizje haszyszowe kończą się, lecz nie kończy się życie. Płynie ono dalej wraz w wybranym kierunku. W jakimś cichym zakątku nadmorskim błąka się poeta niby w półśnie, w obumarłej apatji. Jego »jaźń« przedstawia już tylko ruinę, w której zgliszczach grzebie się gorączkowo, chorobliwie, z uporem maniaka. Na chwilę jeszcze zapala się w nim iskra życia, gdy jest świadkiem szlachetnych usiłowań ludzi, chcących przynieść trochę szczęścia swemu rodzinnemu zakątkowi; na widok przedajności i czołgania się przed możnymi oburza się w nim dawna prawość, lecz to są tylko chwilowe wybuchy, jaskrawe rakiety, po których tem czarniej wle-

---

Tak było z tamtą, tak i z tą będzie!...

Przeklęte szczęście!

Postawił szklankę na tacy.

Nasłuchiwał...

Jęki i szamotania ustały.

Ha, może zmarła w konwulsjach! Przy jego szczęściu i to jest możliwem!...

Obejrzał się na chorą i oniemiały ze zdumienia, postąpił ku niej parę kroków. Stanął nieruchomy, stłumił oddech.

Nad głową Poli unosił się lekki, biały obłok, falował zwolna, poruszał się rytmicznie, a w ruchu tym rósł, gęstniał, poruszał się na środek pokoju, przybierając zarazem coraz wyraźniejsze kształty.

Z białej gęstej mgły wytworzyła się kształtna głowa, przysłonięta jakby białą tkaniną, fale tkaniny spływały na ramiona, osłaniały coraz wyraźniejsze kształty!

Postać, nie dotykając ziemi, posunęła się na środek pokoju, stanęła pod lampą.

Doktór stał naprzeciwko białej figury, pochylony naprzód, śledził każdą zmianę w mglistych kształtach.

Rysy twarzy formowały się zwolna.

Pola wiła się w konwulsjach; a ile razy zmęczona drętwiała na chwilę, wyraźne już rysy widma w mgłę się rozpływały.

Doktór posyłał jej wówczas piorunujące wejrzenie, wpatrywał się w martwą twarz Poli, usiłując podnieść gasnące siły...

Pod wpływem jego wzroku chora drgała jak trup naelektryzowany.

Mglista postać nabierała życia, usta układały się do śmiechu, otworzyła oczy... duże ciemne oczy Poli!

Doktór odetchnął głęboko.

Zbliżył się do niej, a cofając się ku drzwiom gabinetu, siłą wzroku pociągał ją za sobą.

Szła... posuwała się raczej wolnym, falistym ruchem.

Jeszcze parę kroków tylko!

Doktór ciągnął ją wzrokiem... Szła uśmiechnięta, jakby uszczęśliwiona tym ruchem, któregoby bez jego pomocy uczynić nie mogła.

W miarę, jak się oddalała od Poli, ruchy stawały się wolniejsze. Doktór wytężył całą siłę woli, żeby ją za próg sypialni wywabić.

Stanęła w gabinecie.

Zatrzasnął drzwi, a jednocześnie głuchy, przeciągły jęk rozległ się w sypialni.

Figura drgnęła — zamknęła oczy.

cze się mętny dym, tem nędzniej w nocnej pijatyce gasną świetlne przebłyski.

Wśród podobnego żywota zaczyna mu nareszcie majaczyć zdala, jak przystań szczęśliwa, domowe ognisko. Budzi się tęsknota do dziecka.

W jeden wieczór takiego nastroju opuszcza swego nieodstępnego przyjaciela i ucieka do domu.

(Dok. nast. *W. Dalecka.*

SEN.

(Dokończenie).

Nie wiem, jak długo przebyłem w takim stanie półświadomości gdy naraz otrzeźwił mnie hałas i krzyki w stronie cmentarza. Przekleństwa mieszały się z krzykami bólu i żałośnem zawodzeniem. Porwałem się z miejsca, w jednej chwili przebyłem przestrzeń, dzielącą mnie od cmentarza i oto jaki widok uderzył moje oczy. Dwaj strażnicy kopiąc i popychając pędzili przed sobą gromadkę ludzi: drżącą kobietę i dwóch młodych parobków. Biedacy opierali się płacząc i oglądając z rozpaczą w stronę muru cmentarnego, przy którym odgrywała się scena, przypominająca coś z krwawych dziejów inkwizycji. Tam stał pop, sam starzec nad grobem, z rozwianym siwym włosem, lecz ze wzrokiem pałającym fanatyzmem i dziką zemstą i kierował kilkoma innemi strażnikami, którzy układali na wóz trumnę. Okazało się, że pędzeni ludzie byli to dwaj synowie i żona zmarłego. Udało się biedakom zmylić na chwilę trop czujnego moskiewskiego duszpasterza, węszącego zaciekle, żeby jak sęp pochwycić w swoje szpony ofiarę choćby na progu śmierci, wynieśli cichaczem drogie zwłoki pod ochroną nocy i oto, gdy już byli prawie u celu, gdy pozostawało tylko przedźwignąć trumnę przez ogrodzenie cmentarne, — przyłapano ich... Zaczęło się szarpanie i wyrywanie trupa z rąk nieszczęsnej rodziny... W tem szamotaniu się trumna spadła na ziemię, słabo przytwierdzone wieko oderwało się z jednej strony i wysunęła się z trumny ręka nieboszczyka czarna skostniała, pełna niemej zgrozy. Widziałem jak strażnik spiesząc się i drżąc na całem ciele, przemocą tłoczył tę rękę pod wieko. Bał się...

Stałem bez ruchu, jakby przykuty do miejsca, przejęty zgrozą, dławiąc się w bezsilnej wściekłości. Smutna procesja dawno już znikła z moich oczu, a ja wciąż jeszcze patrzałem jej w ślad, dysząc ciężko, zaciskając kurczowo pięści. Och, gdyby wzrokiem można było zabijać!..

Bezwiednie przedostałem się na cmentarz dowlokłem się do ojcowskiego krzyża i padłem złamany u jego stóp. Nie pamiętam, jak długo przeleżałem tam z szeroko rozwartemi źrenicami, wpatrzony w straszne obrazy stuletniej niewoli, aż fale wzburzonych uczuć opadać zaczęły stopniowo coraz ciszej, jątrząc się i szemrząc, aż

Blask księżyca oblewał ją całą.

Trzymał w swoich dłoniach jej miękkie, ciepłe ręce, czuł jej oddech coraz słabszy.

Pochwycił nareszcie to, o czem marzył, do czego dążył...

Miał ją przed sobą żywą; chciał porwać, unieść. Gdzie? Jak?

Stał, skamieniały z zachwytu i zdumienia...

Czuł w dłoniach ręce coraz chłodniejsze, niknące, jak ze śniegu; widział, jak rysy, wyraźne przed chwilą, zlewały się w mgłę przejrzystą, a w duszy czuł strach przed znikającem zjawiskiem.

Raz jeszcze ścisnął ręce, ale paznogcie wpiły się już w jego własne dłonie.

Biała mgła zlała się ze smugą księżycowego światła... Chwilę jeszcze widział kształt ramion i głowę... Na jedno mgnienie oka przez srebrzystą smugę przesunęła się matowa chmurka.

Wszystko znikło.

Doktór stał pośrodku gabinetu, przed nim zamknięte drzwi sypialni i smuga srebrzystego światła, a w niej unoszą się może resztki mgły, których on już dostrzedz nie umie.

A jednak trzymał ją, miał w ręku...

— No i cóż?

Nogi wrosły w ziemię, nic mógł się poruszyć z miejsca.

Dokąd pójdzie?

Na prawo, w sypialni może...

Słyszał jęk ostatni... a było to w chwili, kiedy trzymał ręce widma. Co się tam z nią stało? Ha, jedna ofiara więcej .. a zagadka w dalszym ciągu pozostaje zagadką...

— Gdyby tak kilka organizmów jednocześnie poświęcić, wytworzyłaby się może odpowiedź na ciekawe zagadnienie.

Gdyby!...

Spuścił oczy.

Zamknięte drzwi, zarówno jak smuga światła z resztkami mgły białawej, przykre robiły wrażenie.

Gdybyż był pewien przynajmniej, że to wszystko nie było halucynacją!...

Wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu.

Osloja.

myśl zamgliła się, obezwładniała. Czułem tylko że jakaś przejmująco zimna, czarna, jak noc, próżnia wypełnia głowę i ciężar ogromny przygniata mi pierś. Czułem jak w niezmąconej ciszy wkoło mnie budzą się jakieś dziwne szmery, rosną, przechodzą w szum, dzwonią mi w uszach bezdźwięcznemi głosami, zatapiają, unoszą na falach... Świadomość rozpływała się, jak senne marzenia we mgle niepamięci, przestawałem zwolna istnieć dla samego siebie... I naraz ujrzałem się zawieszonym w jakiejś bezbrzeżnej, pustej, czarnej przestrzeni, po przez którą daleko, daleko, ledwie okiem dojrzeć, dniało niewyraźne światło bladej jutrzenki. Tam, do tego światła rwały się z tęsknotą wszystkie moje nerwy. Dążyłem do niego całą siłą pragnienia, wydobywałem się, znów zapadałem w pomrokę, aż nareszcie po długiej wyczerpującej walce w całym blasku zajaśniało mi światło dzienne, znalazłem się na stałym gruncie. Przedemną ciągnęła się przestrzeń ogromna, smutna, zmartwiała, bez znaku życia. I widziałem jak na tej przestrzeni zaczynają tu i owdzie wykwitać malutkie purpurowe strumyki, jak ich przybywa coraz więcej, więcej, jak napełniają martwą ciszę głosami jakby cichej, na trwogę bijącej pobudki. Niebo zarumieniło się krwawym odblaskiem, strumienie wciąż rosły, olbrzymiały, zamieniały się w potoki krwi, kłębiące się w głuchem wrzeniu i bryzgające purpurową pianą, aż cała okolica, hen gdzie okiem sięgnąć, została zatopioną. W tem z pośród krwawej powodzi zaczęła się zwolna wyłaniać czarna, zapracowana, zesztywniała ręka z wyschłemi, kurczowo zagiętemi palcami, jakby te palce chciały coś uchwycić. Poznałem ją...

Ręka wydłużała się, rosła, przeciągała się nad całemi krajami w stronę północy, a gdzie tylko padł na ziemię jej cień, wszystko pierzchało w dzikim bezładnym popłochu. I widziałem, jak na czele pierzchającej w śmiertelnej trwodze tłuszczy, najszybciej uciekał jakiś człowiek.

Od szybkiego biegu poły jego szkarłatnego płaszcza fruwały, jak skrzydła nietoperza, nalane krwią oczy miotały wejrzenia pełne dzikiej, rozpacznej trwogi, zimny kroplisty pot spływał po wybladłem czole, po wykrzywionej kurczowo twarzy. Pędził bez wytchnienia w stronę wschodu. z siłą rozpaczy przytrzymując na skroniach coś błyszczącego; a gdzie tylko oparł stopę, jęk głuchy, a ciężki, jak potępienie, rozlegał się pod ziemią i żywa krew tryskała obryzgując go strumieniem pod którym wstrząsał się, jakby to był roztopiony ołów.

Naraz — zaszumiała w górze tysiącami skrzydeł i nad głową uciekającego zawisła czarna, zesztywniała ręka, gotowa rzucić się jak sęp na swą zdobycz. Cisza grobowa oblegała ziemię, tłumy stanęły w niemem oczekiwaniu, uciekający spojrzał, opuścił bezradnie głowę, a kolana same się pod nim ugięły. A zdaleka, z za gór i lasów, pośród ogólnej ciszy dał się słyszeć głos, zrazu niewyraźny, głuchy, potem coraz bliższy, potężniejszy, napełniał całą ziemię, grzmotem się toczył po stropie niebieskim, aż piorunem obił się o uszy zdrętwiałej, drżącej jak liść osikowy postaci w purpurze. Głos ten wołał: Oddaj »boś ją ukradł i splamił, synu Wasylowy!«

Otworzyłem oczy. Dokoła szumiały drzewa cmentarne — w górze jaśniało niebo. Różowe promienie wschodzącego słońca mieniły się złotem i purpurą na słomianych strzechach, widniejących w dole i zaglądały wesołem światłem w okna chat, jakby budząc uśpiony lud do życia, pracy, walki!...

Wiesław.

Ibsen w ostatnim okresie swej twórczości.

III.

W »Norze« pokazał nam Ibsen małżeństwo zerwane, w Upiorach związek, którego na nieszczęście nie zerwano; w »Pani Morza« zajmuje się poeta wypadkiem, gdzie z fałszywego stosunku staje się małżeństwo prawdziwe. Dr. Wangel ożenił się z Ellidą mniej więcej w ten sam sposób, jak Helmer z Norą, w podobny ją też sposób traktuje. Dawniej jeszcze złożyła była Ellida obcemu marynarzowi ślub wierności, ale człowiek ten posiadał jej serce tylko dopóty, dopóki był obecnym, gdy odjechał, napisała mu, że wszystko się skończyło. Za Wangla wyszła nie z miłości, lecz aby mieć utrzymanie: gospodarstwo domowe prowadzi najstarsza córka z pierwszego małżeństwa Wangla, Ellida zajmuje więc w domu jego niejako miejsce gościa. O obcym marynarzu zapomniała, naraz bezpośrednio przed urodzeniem dziecka zjawia się jego obraz w jej wyobraźni i nie opuszcza jej; Ellida jest mniemania, że, uczyniwszy mu ślub wierności, powinna jego być żoną. Naraz zjawia się obcy ów człowiek i wzywa ją, aby poszła za nim. Czuje ona przestrach na jego widok, ale równocześnie coś ją silnie do niego przyciąga; obudza się w niej cała władza obcego człowieka, jaką ma nad nią, prosi więc Wangla, aby jej zwrócił swobodę.

Wangel chce jej z początku przeszkodzić w tym zgubnym dla niej zamiarze, ostatecznie jednak pozostawia jej wolny wybór: idź lub zostań, jak chcesz, masz swobodę zupełną i wolnaś od wszelkiej odpowiedzialności. I skoro jej to powiedział, a więc przestał roztaczać nad nią pewnego rodzaju kuratelę, traci obcy człowiek wszelką władzę nad nią, Ellida pozostaje i od

tej chwili fałszywy dotychczas stosunek zmienia się w małżeństwo prawdziwe.

Ibsen problemu swego nie postawił zbyt jasno. Ellida jest zjawiskiem anormalnem, słyszymy coś o matce obłąkanej, a sposób, w jaki zachowuje się względem obcego człowieka, świadczy o jej anormalnej podatności do ulegania wpływom psychicznym. Zachodzi więc kwestja, czy Wangel dobrze zrobił, pozostawiając takiej kobiecie swobodę postanawiania o sobie; wątpliwem jest też, czy przy takim stanie rzeczy pozostawienie jej swobody, zdjęcie z niej opieki małżeńskiej, mogłoby w rzeczywistości złamać władzę, jaką posiada nad nią ów obcy człowiek.

Z powyżej przytoczonych szczegółów, dotyczących Nory, Heddy Gabler, Pani Morza etc., wynika, że w sprawie małżeństwa zdaniem Ibsena mężczyzna nie powinien żenić się tylko dlatego, aby żonę swą całować, a kobieta nie powinna wychodzić za mąż, aby mieć utrzymanie, a dalej, małżeństwo nie powinno opierać się na przymusie, jaki wywierają nasze ustawy i nasze społeczeństwo, traktujące żonę jako rodzaj własności męża, ale kobieta powinna mieć swobodę opuszczenia męża, jeżeli uważa to za słuszne. Stojąc na takiem stanowisku, dojdziemy do przekonania, iż małżeństwo jako instytucja prawno-społeczna przestałaby istnieć.

Aby małżeństwo istnieć mogło w warunkach, zakreślonych przez Ibsena, na to potrzeba indywiduów silnych, pod względem moralnym dzielnych.

Społeczne znaczenie małżeństwa występuje w chwili, gdy zwrócimy uwagę na dzieci. Na drogę tę wszedł Ibsen w »Małym Eyolfie«, broniąc w dramacie tym prawa dziecka wobec rodziców, żyjących tylko dla siebie i zaniedbujących swe dzieci.

* * *

Przedstawiwszy w dotychczasowych uwagach główne zasady etyki ibsenowskiej, należy się zastanowić, jaki los przeznacza poeta osobom swych dramatów. Przeważna część tych utworów kończy się w sposób tragiczny. Posępna szarość panuje przy końcu »Dzikiej kaczki« i »Upiorów«, a oba te dramaty mają to podobieństwo, że giną tutaj osoby poboczne, osoby, które najmniejszego nie biorą udziału w skojarzeniu przyczyn, sprowadzających nieszczęście. W Dzikiej Kaczce ginie biedna Jadwinia, tak gorzko skrzywdzona przez ojca, w Upiorach Oswald przynosi z sobą na świat z winy ojcowskiej zarodki choroby, kończącej się ostatecznie szaleństwem. W Upiorach mamy ponadto niewymowną boleść matki, w Dzikiej Kaczce zaś zwątpienie poety w zwycięstwo prawdy, Hedda Gabler kończy samobójstwem z obawy przed skandalem, budowniczy Solness spada z wieży i zabija się na miejscu i dopiero zagłębiwszy się w alegoryczną, tajemniczą treść tego utworu, można tego rodzaju koniec uważać za uprawniony. Nora kończy się również jaskrawym rozdźwiękiem.

Kojącym jest koniec w »Małym Eyolfie«, a podniosłym — w Rosmersholmie. Rebeka West, córka owego doktora Westa, którego zasadami się przejmuje, stając się kochanką własnego ojca, wciska się w dom Jana Rosmera, do którego zapałała żądzą niepowściągnioną, i podszeptami, dowodzącemi jego żonie, że zawadza na drodze szczęścia męża, skłania ją do samobójstwa; Rosmer bezwiednie o tyle w tem zawinił, że dużo obcował z Rebeką. Atoli w tem obcowaniu, które trwało i po śmierci żony, Rebeka pozbywa się powoli dawnych, niemoralnych pojęć i staje się zwolenniczką szlachetnych zasad Rosmera; a kiedy tenże prosi ją o rękę, odmawia mu i przyznaje się do wszystkiego. Rosmer czuje się winnym i traci wiarę w swą władzę uszlachetnienia ludzi. Daremnie wskazuje mu Rebeka, że uszlachetnił ją, przecież po tem wszystkiem, co słyszał od niej, już jej wierzyć nie może. Aby mu wiarę tę wrócić, chce Rebeka pójść w ślady jego żony; jeżeli drogą tą iść zamierza, a on jej towarzyszyć będzie, ażeby zmazać winę względem żony, to nasuwa się czytelnikowi myśl krzepiąca, że oboje zwyciężyli w swem wnętrzu. Takie zwycięstwo, tylko jeszcze wyraźniejsze, odnosi i Wróg ludu, który, nie dawszy się złamać, chce zostać w mieście i wiedzę i siły swe poświęcić biedakom, jako lekarz szpitalny i kierownik szkoły dla ubogich. Zupełnie szczęśliwie kończą się »Podpory społeczeństwa« i »Pani morza«.

Tego rodzaju energiczna, bitna postać jak Wróg ludu stanowi wśród postaci Ibsenowskich wyjątek; inne figury są bierniejsze, pozbawione młodzieńczego zapału, pchającego ludzi do walki ze złem. Wola ich nie jest namiętnem parciem naprzód, lecz spokojem; bardzo często woli wcale nie mają, stojąc pod klątwą przeszłości, która ich woli żadnego nie pozostawia pola. Bierność tych postaci ma charakterystyczną cechę: nie walczą one z losami, dają się im po prostu zdruzgotać. Rosmera niszczą słowa Rebeki i przez całą drugą połowę sztuki widzimy w nim człowieka złamanego; nastrój posępnej rozpaczy panuje w Upiorach. Zresztą osoby Ibsena znakomicie są charakteryzowane: jest on pod tym względem mistrzem skończonym. Dla przykładu wskazać wypada na owych fantastów w Dzikiej Kaczce, na Helmera w Norze, na pastora Mandersa w Upiorach, na Heddę Gabler. Najszlachetniejszą z postaci Ibsena jest niewątpliwie Jan Rosmer; pod względem psychologicznym jest on atoli najmniej interesującym.

Ibsen malował także anormalne życie wewnętrzne.

Oswald w Upiorach cierpi na chorobę mózgową, którą lekarz nazwał jakąś »miękkością« w mózgu; miał on zapewne na myśli paraliż progresywny. Psychiatrzy, zapytywani, o ile Ibsen stanął w danym wypadku na gruncie faktycznym,

odpowiedzieli, że choroba przedstawioną została fałszywie; mogłoby tutaj rozchodzić się co najwyżej o odziedziczenie jakiejś innej choroby, stwarzającej predyspozycję do paraliżu. Tego jednak Ibsen w utworze swoim nigdzie nie zaznaczył. Zresztą z wielu względów przyjęcie takiej dyspozycji byłoby dla celów jego zbyteczne. Kwestja jednak, czy etjologja Ibsena jest dobrą, bardzo ważną w danym wypadku odgrywa rolę: jeżeli jest fałszywą, wówczas znaczy to, że w rzeczywistości z małżeństwa pani Alwing takie nieszczęście wyniknąć nie mogło, że więc argument Ibsena przeciw małżeństwu temu jest nieważny. Nieważnym jest on atoli tylko w tej specjalnej formie, boć w ogólności każdy przyzna, że dzieci zdrowych rodziców mają daleko więcej widoków jędrnego życia, aniżeli dzieci, których ojcowie zniszczone mają siły.

»Pani Morza« opartą jest, zdaje się, na hipnotyzmie, dzięki któremu główna postać, jako jakiś specjalny okaz psychologiczny, mały budzi w nas interes. Ta nadzwyczajna wrażliwość bohaterki na tego rodzaju działanie szkodzi tendencji dramatu a i na samo wywierane przezeń wrażenie wpływa ujemnie.

W ogólności zauważyć wypada, że w ostatnich utworach swoich stwarzał Ibsen te lub owe szczegóły w ustroju normalnie pomyślanych ludzi, nie z genjalnej intuicji, ale że są one rezultatem teoretycznych zaciekań psychologicznych. Osoby te ujawniają dziwactwa, których my odczuć nie możemy. Pani Solness np. spokojnie znosi stratę dzieci, pocieszając się tem, że stało się to za zrządzeniem boskiem, natomiast gorzko płacze z powodu 9 lalek, któremi bawiła się już jako dojrzała kobieta, a które zginęły jej w pożarze. Dla umotywowania tej nadzwyczajności psychologicznej ma służyć zdanie o drobnych stratach w życiu, które krwawią nam duszę. Z tego teoretycznego zdania skonstruował Ibsen dany wypadek; atoli jakkolwiek w zdaniu tem tkwi cokolwiek prawdy, zasada owa w specjalnym tym razie jest niemożliwie przeholowaną. Przyznajemy w końcu, że coś podobnego wydarzyć się może, ale współczucia w nas to nie obudzi.

Przegląd pism.

Żytie i słowo. Rok III. Zeszyt 1. lipiec 1896.

Wychodzące od trzech lat we Lwowie pod redakcją dra Iwana Franki pismo ruskie zmienia z zeszytem niniejszym swój charakter. Przedewszystkiem z dwumiesięcznika staje się miesięcznikiem i przekształca się na organ poświęcony w znacznej części polityce. Taka zmiana może wyjść jedynie na korzyść pismu, ponieważ uczyni je aktualniejszem i bardziej dostępnem dla szerokich kół publiczności, bo i balast surowych materjałów folklorystycznych i historyczno-literackich został usunięty zupełnie.*)

Na wstępie spotykamy obszernie umotywowany protest Rusinów galicyjskich z obozu opozycyjnego przeciwko obchodowi tysiąclecia Węgier. Protest ten podpisany przez dwadzieścia kilka osób, przelewa światło jaskrawe na stan dzisiejszy nieszczęśliwej Rusi węgierskiej, madziaryzowanej w sposób bezwzględny, przytaczając fakty oburzające każdego uczciwego człowieka. Protest wymierzono przeciwko sferom dziś na Węgrzech panującym, starannie odróżniając je od narodu węgierskiego. Autorowie protestu uznają potrzebę tego, ażeby Rusini węgierscy byli dobrymi patrjotami węgierskimi, ponieważ stosunki ekonomiczne i kulturalne połączyły ich nierozerwalnie z Węgrami, protestują zaś jedynie przeciwko systemowi barbarzyńskiego wynaradawiania. Protest ma się ukazać wkrótce również po niemiecku i po węgiersku.

Dział beletrystyczny reprezentuje ładna drobnostka Michała Obacznego (Ukraińca), »Bez wyjścia«, bardzo ciekawe opowiadanie Iw. Franki, osnute na tle stosunków pańszczyźnianych i kilka poezyj.

Ukrainiec E. S. zapoznaje czytelników z okropnymi stosunkami, panującymi w wojsku rosyjskiem, podając drastyczne przykłady tego jak się obchodzą oficerowie moskiewscy z żołnierzami podwładnymi.

W dziale »Nasza beletrystyka« dr. Franko zajmuje się kilkoma nowszymi utworami pisarzy ukraińskich i bukowińskich, zatrzymując się głównie przy opowiadaniu młodego pisarza bukowińskiego Halipa. Na wstępie dzieła tego wypowiada dr. Franko sporo uwag o zadaniach krytyki dzisiejszej.

Spektator gromadzi w swej kronice »Wieści z Rosji« garść ciekawych wiadomości, dotyczących życia wewnętrznego caratu, a stojących w rażącej sprzeczności z tem zdaniem optymistycznem, jakie autor na początku kroniki wypowiada.

Kronika polityczna zajmuje się głównie niefortunnem wystąpieniem posła Barwińskiego w delegacjach i paru innymi objawami życia ruskiego czasów ostatnich.

Cięta recenzja zbiorku pieśni małoruskich, wydawanych przez Sokołowa, napisana z fachową znajomością przedmiotu i nekrologja dopełniają różnobarwną treść zeszytu.

L. W.

Wiadomości bibljograficzne.

Ligęza Jan. O początkowem wychowaniu ciemnych dzieci, napisał . . . Odbitka ze Szkoły. Lwów 1896, Str. 15.

Morawski Zygmunt. Zwierzęta w przysłowiach, przypowieściach, przenośniach i porównaniach języka polskiego przez . . . Odbitka ze sprawozdania c. k. gimn. tarnow. W Tarnowie, 1896. Str. 46.

*) Materjały te znajdą miejsce w wydawnictwach stale rozwijającego się »Towarzystwa imienia Szewczenki«.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.